

Siedem grzechów głównych III RP

1 lipca 2017

Nawet jeżeli PiS przegra kolejne wybory, to jeśli nie chcemy za kilka lat objęcia władzy przez formację jeszcze bardziej radykalną, musimy zmienić nastawienie wobec polityki i „suwerena”. Popełnialiśmy bowiem grzechy, które wyniosły takie siły do władzy.

Niechęć, niekiedy wręcz agresja, dużej części Polaków wobec systemu, elit, polityków – nie wzięła się znikąd. I nie chodzi tylko o niskie dochody, niespełnione aspiracje. Chodzi również o katalog „niematerialnych” grzechów, które w III RP zostały popełnione. Gdyby nie te grzechy, „zielona wyspa”, pieszczoch Europy, lider wzrostu gospodarczego i zagranicznych inwestycji, nie padałaby pod naporem PiS-owskiej rewolucji. Grzechy popełnione przez kierowników III RP powodują, że władza utrzymuje relatywnie wysokie poparcie społeczne. Te grzechy są też lustrem dla nas samych – grzeszników III RP – którzy podążali z nurtem jedynie słusznych prawd objawionych, bez oglądania się na słabszych i bez refleksji nad kondycją kolejnych ekip rządzących. Trzeba uczciwie grzechy przepracować. Wyznaję nasze grzechy:

1. EGOIZM

Nie ma „my”, jest tylko „ja”. To grzech pierworodny. Po trosze na egoizmie została ufundowana III Rzeczpospolita. Klasę średnią – dzisiejszych trzydziesto- i czterdziestolatków wychowano w etyce egoistycznej, bez empatii i altruizmu. Wpajano nam, że biedni i bezrobotni są sami sobie winni. Nie uczono o współpracy i równości szans, lecz o konkurencji i wyścigu. Na gruncie zawodowym słowa „służba” czy „etos” budzą uśmiech politowania. Co innego – „konkurencyjność”, „indywidualizm”. Pracy w grupie musimy się dopiero uczyć w

zagranicznych korporacjach. To nas znacząco odróżnia od społeczeństw Europy Zachodniej, a zbliża do Amerykanów. Tyle, że Amerykanie od lat – a szczególnie intensywnie od kryzysu – debatuja o tym, że Ameryka przestała być krajem „od pucybuta do milionera”, że równość szans jest mityczna, o nierównościach, o najbogatszym jednym procencie. My natomiast przyjęliśmy nierówność z dobrodziejstwem inwentarza transformacji. Od lat wychodzimy z prostych, żeby nie powiedzieć prostackich, założeń, że „jak biedny, to znaczy głupi, albo leniwy”, że „każdy sobie rzepkę skrobie”, „każdy jest kowalem własnego losu” i „jak sobie pościelisz, tak się wyśpisz”.

W rezultacie tego egoizmo-indywidualizmu nasze elity polityczne, finansowe, a nawet intelektualne nie chcą ponosić odpowiedzialności za resztę społeczeństwa. Etyka polskiego biznesmena, przedsiębiorcy, pracodawcy jest taka, że dorobiłem się i wara ode mnie państwu z jego podatkami, płacami minimalnymi, kodeksem pracy. Niektórzy widzą w tych postawach protestancką pracowitość, weberowską etykę, ale to bardziej darwinizm społeczny. Wskutek darwinistycznego postrzegania rzeczywistości postawy tradycyjnie pejoratywnie oceniane, np. bezwzględność, arogancja, pycha – są uznawane za cnotę. Dlatego my – klasa średnia, lemingi, korpoludki, przedsiębiorcy, wolne zawody, intelektualiści etc. – nie budujemy społeczeństwa. Jesteśmy bardziej sforą wilków.

To ma przełożenie społeczno-gospodarcze. Nie ma tu miejsca tego przełożenia opisywać, a jedynie można zasygnalizować przykładowo i hasłowo: unikanie opodatkowania (eufemistycznie „optymalizacja”), śmieciówki, przedsiębiorstwa funkcjonujące jak folwark. Społecznym odzwierciedleniem tego jest natomiast podział na beneficjentów i ofiary. Na tych, którym się udało, się wie, których cieszy Unia, Schengen, Mordory, autostrady i tych, dla których Schengen jest obojętne, bo – jak to ujął Jan Sowa – nie mają na bilet do Radomia. Te grupy się nie znoszą, chamsko etykietują, odgradzają od siebie,

nawet sobą pogardzają. A pogarda to kolejny grzech.

2. POGARDA

W I RP szlachcic pogardzał chłopem, a pańszczyznę zniósł dopiero zaborca. W II RP „lud” nadal bał się Pana (patrz: Gombrowicz), a Miłosz w „Wyprawie w dwudziestolecie” pisał, że „można nawet porównać stosunek urzędników do obywatela ze stosunkiem szlachty do chłopów pańszczyźnianych”. W III RP mieliśmy mieć klasowo-kastową strukturę społeczną za sobą, a tu proszę – u progu nowej Polski wynaleźliśmy niejakiego homo sovieticus, czyli człowieka starego typu, człowieka tamtej epoki, dla którego w nowej kapitalistycznej Polsce nie za bardzo znalazło się miejsce. Robotnicy, emeryci, renciści, urzędnicy niskiego szczebla. W opinii elit homo sovieticus był roszczeniowy, podany na populizm, nie rozumiał lub wręcz nie dojrzał do demokracji. Dlatego starsi wykluczeni, a w szczególności potomkowie pogardzanego homo sovieticus, zwracają się w stronę opcji nacjonalistycznej, która daje poczucie wspólnoty, siły. Andrzej Leder w „Prześnionej rewolucji” pisał: „Dzieci tych robotników, pozbawionych na początku lat 90. znaczenia, pracy i godności, zwracają się ku agresywnemu nacjonalizmowi. Ideologia narodowa czy nawet patriotyczna daje niesłychanie silne, grupowe poczucie wpływu, znaczenia, bycia kimś”. Monika Bobako nazwała ten stan świadomości polskich elit „kulturowym rasizmem”.

Podział na „ciemnogród” i inteligencję, mieszczaństwo, klasę średnią i wreszcie lemingów jest żywy. Elita wypychała pogardzanych w ręce populistów przez całe ćwierćwiecze (Tymiński, Lepper, Giertych, Kaczyński, Korwin-Mikke, Kukiz). O kulturze poniżania pisał prof. Andrzej Szahaj, zwracając uwagę, że poniżanie drugiego stało się normą forsowaną np. w popularnych programach telewizyjnych, bo przecież „upokarzani chcą oglądać innych upokarzanych, aby lepiej znieść swe własne upokorzenie”. Dlatego sukces indywidualny po polsku ma często postać estetycznie krzykliwą i wulgarną oraz manifestującą pogardę dla słabszego – pracownika, gosposi, bezdomnego etc.

I tak w tym naszym polskim piekiełku wciąż wzajemnie sobą pogardzamy, upokarzamy, poniżamy. Stąd popularna jest ocena, że program 500+ „menelstwo” zmarnotrawi, przepije lub przegra na automatach. Opinia o współobywatelach w stylu homo sovieticus jest zatem wciąż aktualna.

Pogardzani wygrali, bo zostało im pokazane, że nie są sobie winni, a winna jest dotychczasowa elita. Ale dawna elita nie wyciąga z tego konstruktywnych wniosków, bo – jak to słusznie zauważył Grzegorz Sroczyński – „polski inteligent zajmuje się nienawidzeniem Kaczyńskiego”.

3. GNUŚNOŚĆ

Trudno wymagać od elit zapału do reformowania państwa, skoro prominentna ich część państwa nie znosi i programowo chce go jak najmniej. O ile bowiem w międzywojniu władze za punkt honoru stawiały sobie zbudowanie silnych instytucji związanych z państwem (np. kolej, poczta), o tyle w III RP postawiliśmy sobie za cel uciec z państwem od możliwie wielu dziedzin życia, a palące problemy społeczne zbywać machnięciem ręki na zasadzie, że w kapitalizmie tak musi być. To gnuśność podszyta regułą, zgodnie z którą albo się nie da, albo nie powinno się, ponieważ interwencje, etatyzm, planowanie (same brzydkie słowa) to relikty komunizmu.

W latach 90. władza miała zapał do zmiany spowodowanej końcem PRL-u (choć na modłę konsensusu waszyngtońskiego – prywatyzacja, deregulacja, liberalizacja – ale jednak), a rządy lewicy na początku XXI wieku stały pod znakiem reform dostosowawczych przed akcesją do UE, to do rangi ideologii gnuśność podniosła dopiero Platforma Obywatelska. Donald Tusk postawił hasło „nie róbmy polityki”, co miało oznaczać, że PO zajmie się administrowaniem, a nie reformami, zmianami prawa, zarządzaniem rzeczywistością. To się ludziom początkowo podobało, bo musieli złapać oddech po preludium IV RP w latach 2005-2007, ale na dłuższą metę okazało się, że Tusk piłował gałąź, na której siedziała jego formacja. Suweren bowiem chce

widzieć, że zatrudniani przez niego politycy pracują, uwijają się, działają. Bo politykę trzeba robić, żeby kreować rzeczywistość. Platforma zajęła się przede wszystkim wydawaniem pieniędzy z UE (i dobrze), ale i tutaj szła na skróty, bo 80% środków przeznaczyła na budowanie, co nie musi służyć rozwojowi. Bo – jak pytał retorycznie prof. Kozak – „Czy ściana kogoś kształci? Czy chodnik coś wymyśla?”.

Wbrew obiegowej opinii, w pierwszej perspektywie budżetowej nie inwestowaliśmy w ludzi, miejsca pracy, przedsiębiorczość, bo to jest oczywiście trudniejsze, bardziej skomplikowane niż „wylewanie betonu”. Łatwiej jest wybudować stadion niż ograniczać śmieciówki, na których ludzie na tej budowie są zatrudnieni. Na przykład w Irlandii zdecydowali, że ze środków unijnych tylko 30% wydadzą na infrastrukturę i teraz Irlandczycy są świetnie wynagradzani, bo pracują w nowych technologiach, a nie – jak wielu Polaków – w montowniach sprzętu AGD.

Platforma przegrała z PiS-em pod naporem narracji, że są aroganckimi leniami. Ciepła woda w kranie zaczęła Platformę parzyć. Jeżeli potencjalni następcy PiS-u będą znów „nie robili polityki”, to długo nie porządzą.

4. PYCHA

Po 1989 roku władza miała znamiona znośnego elitaryzmu na zasadzie „my wiemy lepiej”. Już wówczas władza mało komunikowała się ze społeczeństwem, ale można przyjąć, że po prostu wzięła odpowiedzialność za transformację. To był nie-pyszny elitaryzm. Ludzie mieli nie przeszkadzać, gdy ojcowie założyciele dokonywali zmiany z socrealizmu na kapitalizm.

Ewa Milewicz zawyrokowała, że „SLD mniej wolno” i rzeczywiście pierwsze rządy lewicy były jakby nieśmiałe, skupione na legitymizowaniu siebie w oczach Polaków i świata, obronie przed atakami prawicy, pisaniu nowej Konstytucji. Później było już tylko gorzej. TKM AWS-u i drugich rządów SLD. A im dłużej

jedna ekipa jest przy władzy (dobrze to widać w samorządach), tym bardziej traci społeczny słuch, odwraca się od ludzi, traci kontakt z rzeczywistością. Przekroczenie cienkiej granicy między elitarnością a pychą powoduje utratę poparcia. PiS odebrał władzę PO m.in. dlatego, że ta druga do znudzenia i nieznośnie grała jedną melodię: „Jest super. Więc o co ci chodzi?”. Najpierw Tusk butnie oznajmił, że „nie ma z kim przegrać”, a narcyzm i arogancja polityków PO narastała z roku na rok. Trudne pytania platformersi zbywali przekazami dnia o zielonej wyspie, unijnych miliardach, kilometrach autostrad i – obowiązkowo – zagrożeniu PiS-em. Samozadowolenie władzy raziło i coraz większe rzesze wyborców to mierziło. Apogeum odrealnienia zaprezentował prezydent Komorowski ze swoim „zmień pracę, weź kredyt” i podjętą w jakimś amoku, nazajutrz po pierwszej turze wyborów prezydenckich, decyzją o rozpisaniu referendum w sprawie JOW-ów, tak jakby głosującym na Kukiza chodziło o zmianę ustroju wyborczego, a nie o pokazanie środkowego palca rządzącym. Ludzie bowiem zawsze będą mieli dość pysznej, narcystycznej, aroganckiej i odrealnionej władzy.

5. NIESPRAWIEDLIWOŚĆ

Poczucie niesprawiedliwości bierze się z nierówności, które u nas – choćby nie wiem jak zaklinać rzeczywistość – są na ponadeuropejskim poziomie. Średnie wynagrodzenie brutto wynosi ponad 4500 zł, ale już mediana (poniżej i powyżej mediany znajduje się dokładnie po 50% wyższej i po 50% niższej pensji) to 3291,56 zł brutto, zaś dominanta (najczęściej wypłacane polskie wynagrodzenie) to 2469,47 zł brutto, czyli w okolicy płacy minimalnej. Widać stąd, że ogromna część polskich pracowników (a to przecież bez uwzględnienia tych, co na zleceniu, dziele, samozatrudnieniu, „na czarno”) zarabia poniżej dwóch tysięcy złotych na rękę. Sam fakt wzrostu gospodarczego nie oznacza zatem poprawy warunków życia dla wszystkich. I to rodzi poczucie krzywdy, niesprawiedliwości, frustracje. Polskie społeczeństwo jest coraz bardziej

spolaryzowane, a podział jest na tych, którym się udało i tych, którzy się nie załapali na dobrobyt.

Ale nie tylko niskie i rozwarstwione pensje budują u Polaków poczucie niesprawiedliwości. Dlaczego rządzącym uchodzi na sucho zamach na niezależność sądów? Bo – jak mówi profesor Tomasz Koncewicz – polscy sędziowie są mistrzami w tłumaczeniu obywatelom, dlaczego sąd nie może się ich sprawą zająć. Mówi się też, że do sądu nie idzie się po sprawiedliwość, a po wyrok. A jest jeszcze publiczna służba zdrowia, z której coraz rzadziej korzystają zamożni i pracujący w korporacjach objęci pakietami medycznymi w prywatnych przychodniach i szpitalach.

Nic więc dziwnego, że partia ze sprawiedliwością w nazwie musiała wreszcie triumfować. Kaczyński bowiem powtarza jak mantrę, że tylko on może dać sprawiedliwość, że wyrówna krzywdy.

6. ZAPOMNIENIE

Po upadku komuny nie zbudowaliśmy żadnej opowieści o Polsce, która byłaby przekonująca dla młodzieży, millenialsów, klasy średniej. Narracji o dumie, postępie, modernizacji, nowoczesności, o Polsce w Europie. Nie stworzyliśmy łączącej nas symboliki (kotyliony i czekoladowy orzeł to jednak za mało). To grzech zapomnienia. Grzech braku polityki tożsamościowo-historycznej. Elity (chyba) wychodziły z założenia, że otwarte granice, Unia, szklane domy w centrum Warszawy, same przemówią i przekonają. Te kwestie położyła centroprawica od Mazowieckiego do Tuska, a także lewica od Kwaśniewskiego do Millera. Brak narracji – nazwijmy to – postępowej i proeuropejskiej spowodowała, że młodzież poszła w kierunku ideologii narodowej, wsobnej, mesjanistycznej. Tak się musiało stać, bo pustkę ideową i mało wyrazisty przekaz – upraszczając – lewicowo-liberalny musiało zastąpić imaginarium przeciwstawne. Imaginarium, które daje młodym poczucie dumy i wspólnotowości, a także wskazuje winnych i wrogów.

Václav Havel powiadał, że aby zrozumieć Czecha, trzeba wsłuchać się w rozmowy w gospodzie. A żeby zrozumieć, co aktualnie w polskim narodzie piszczy, warto czytać, co mówią napisy na murach. A tam: żołnierze wyklęci, NSZ, kotwice Polski Walczącej. Dlaczego nacjonalizm zawłaszczył mury, stadiony, rap z bloków, słowem: umysły wielkiej części młodych? Bo lewica i liberałowie nie dali przestrzeni do budowania wspólnoty, nie opowiedzieli swojej historii, nie pokazali stanowczo powodów do dumy, nie dali też prostych odpowiedzi na pytania dotyczące tożsamości i godności. Natomiast na stadionach młodzi mają poczucie wspólnoty, odzyskują godność, odnajdują odpowiedzi na pytania np. o źródło ich trudności i niepowodzeń. Skoro młodzieży nie stworzyliśmy przestrzeni do kreowania wspólnoty i nie przedstawiliśmy ciekawej opowieści o nas samych, to musieli tę wspólnotę wykreować gdzie indziej. My – lewactwo – tego nie zapewniliśmy, bo jesteśmy wszak pozbawionymi tożsamości i pamięci „workami skórno-mięśniowymi”. Próżnia została wypełniona.

7. WIELKOMIEJSKOCENTRYCZNOŚĆ

Zacznę od przykładu. Zainwestowaliśmy krocie w Pendolino, które łączy tylko duże miasta, podczas gdy przez lata zamykaliśmy krótkie, lokalne linie, zmniejszaliśmy tam tabor i ofertę, a w rezultacie pozbawiliśmy wielu mieszkańców mniejszych miejscowości dostępu do kolei. Zupełnie inaczej to wygląda w Europie, w której wprowadzając regularny, cykliczny i dostosowany do potrzeb podróżnych rozkład jazdy, poszerzano sieć połączeń. Pociągi jeżdżą do długich godzin nocnych według powszechnej w Europie zasady, że nie należy likwidować ostatniego połączenia, bo wówczas spadnie ilość pasażerów na wcześniejszych kursach (np. w czeskim Cieszynie ostatnie pociągi w czterech kierunkach odjeżdżają ok. 22:30, a w polskim Cieszynie ostatni pociąg jest po 19:00). Jeszcze w 2000 roku kolej w Polsce przewiozła 361 milionów pasażerów, a w 2014 roku już tylko 269 milionów. W tym samym czasie w

Niemczech nastąpił wzrost z 1 miliarda 713 milionów do 2 miliardów 23 milionów. Podczas gdy polska kolej w wyniku kolejnych ograniczeń w ofercie boryka się z bardzo niskimi wynikami przewozowymi, Deutsche Bahn pobija rekordy w ilości przewiezionych pasażerów. Natomiast Czesi poinformowali, że do 2014 roku nieprzerwanie od 2009 roku notowali wzrost ilości pasażerów. Dlaczego o tym piszę? Bo to obrazuje model rozwoju jaki w Polsce obraliśmy. Profesor Szahaj nazwał to zjawisko wielkomiejskocentrycznością.

Z punktu widzenia mieszkańca dużego miasta, które kumuluje biznes (a co za tym idzie miejsca pracy), środki na infrastrukturę (również dlatego, że może zaciągnąć duże kredyty) i ofertę rozrywkowo-kulturalną, Polska wykonuje skok cywilizacyjny. Z perspektywy mniejszych miejscowości ta zmiana nie jest tak oszałamiająca. Brak możliwości zatrudnienia w korporacji (najatrakcyjniejsze zatrudnienie to zazwyczaj etat w urzędzie) powoduje wyludnienie, a co za tym idzie brak oferty kulturalno-rozrywkowej. W przeciwieństwie do metropolii, gminy nie mają dużej zdolności kredytowej, co skutkuje mniejszym zasobem środków unijnych na infrastrukturę. I koło się zamyka. Im więcej inwestycji w regionalnej metropolii, tym więcej do niej ściąga biznesu, za nimi atrakcyjne miejsca pracy, zaś za pracownikami przemysł rozrywki i ośrodki kultury. Już dziś Warszawa jest zamożniejsza niż unijna średnia, podczas gdy pośród 20 najbiedniejszych regionów UE aż 5 jest z Polski (województwa lubelskie, podkarpackie, warmińsko-mazurskie, podlaskie i świętokrzyskie). To model rodem z krajów rozwijających się, gdzie metropolie nieustannie puchną.

Przyjęty przez nas wielkomiejskocentryczny model rozwoju prowadzi do pogłębiania się podziału na metropolie i prowincje. Podział na Polskę A i B jest katastrofalny z punktu widzenia budowy wspólnoty i poczucia sprawiedliwości. Kreowanie i brak przeciwdziałania nierównościom – powiedzmy – geograficznym, to zaniedbanie, które mści się na lewicy i

liberałach, co widać po mapie politycznej Polski. Ich zasypywanie to wyzwanie na najbliższe lata.

To nie jest akt oskarżenia pod adresem III RP. Za wiele się udało, żeby poprzestać na samobiczowaniu i powtarzaniu „byliśmy głupi”, „byliśmy głusi”. Za dużo dobrze poszło, żeby chować III RP do grobu, budować nową i pisać pod to nową Konstytucję. Niemniej jednak trzeba rachunku sumienia i wyciągnięcia wniosków z popełnionych grzechów.

Autorstwo: Bartłomiej Ciążyński

Źródło: NowyObywatel.pl